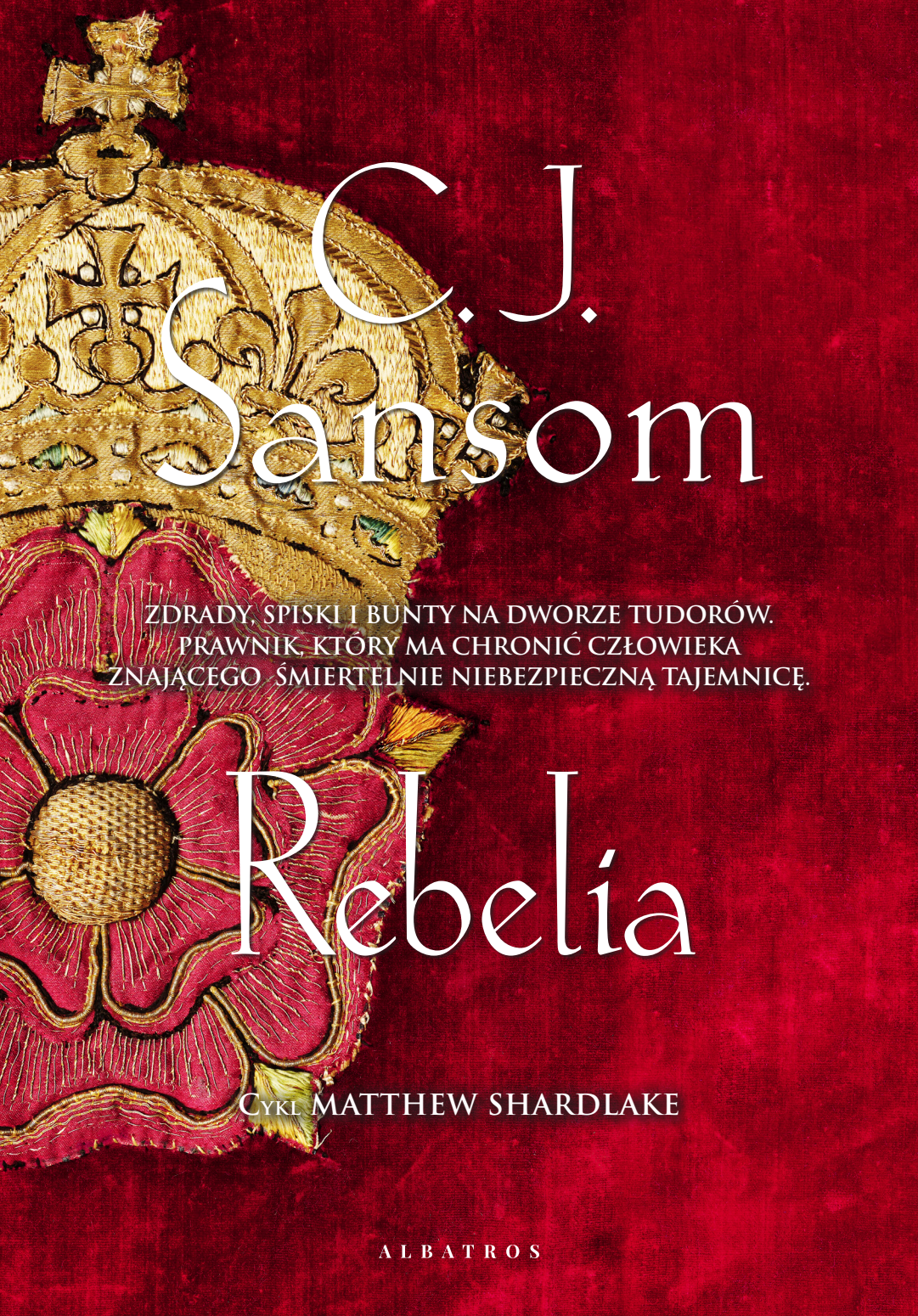




C. J. Sansom

ZDRADY, SPISKI I BUNTY NA DWORZE TUDORÓW.
PRAWNIK, KTÓRY MA CHRONIĆ CZŁOWIEKA
ZNAJĄCEGO ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNĄ TAJEMNICĘ.

Rebelia

CYKL MATTHEW SHARDLAKE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SOVEREIGN

Copyright © C.J. Sansom 2006
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew Kościuk 2012

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: @ Ashmolean Museum/Heritage Images

Opracowanie graficzne okładki: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

Pod drzewami panowała ciemność, przez półnogie konary przenikały jedynie słabe promienie księżyca. Ziemię zaścieniała gruba warstwa liści, która powodowała, że końskie kopyta wydawały ledwie słyszalny dźwięk, trudno więc było stwierdzić, czy nie zboczyliśmy z drogi. Podłej drogi, jak ją określił Barak, nie przestając narzekać na barbarzyńską krainę, do której go przywiodłem. Nie odpowiedziałem na jego skargi, byłem bowiem wielce utrudzony, a mój chory grzbiet i nogi w ciężkich butach do jazdy były sztywne niczym deska. Martwiła mnie też osobliwa misja, która nas czekała. Wypuściwszy na chwilę wodze, namacałem spoczywającą w kieszeni pieczęć arcybiskupa. Ująłem ją w palce niczym talizman, wspominając obietnicę Cranmera: „Niebezpieczeństwo minęło, nic wam nie grozi”.

Pozostawiłem też za sobą inne zmartwienia, sześć dni wcześniej pochowałem ojca w Lichfield. Razem z Barakiem od pięciu dni z mozołem podążaliśmy na północ lichymi drogami zniszczonymi podczas deszczowego lata roku 1541. Znaleźliśmy się w dzikiej krainie z wioskami o starych długich chałupach przypominających norę, krytych strzechami i darnią; ludzie mieszkali w tych domostwach razem z bydłem. Tego popołudnia we Flaxby zboczyliśmy z traktu Great North. Barak chciał zanoć w gospodzie, lecz nalegałem, abyśmy kontynuowali podróż, nawet gdyby miało nam to zająć całą noc. Przypomniałem mu, że jesteśmy spóźnieni, jako że jutro dwunasty września, i że powinniśmy znaleźć się na

miejsu kilka dni przed przybyciem króla.

Niebawem trakt zamienił się w bagniste bajoro, gdy więc zapadła noc, skręciliśmy na suchszą drogę wiodącą na północ przez zalesione obszary, jałowe pola i pozółkłe rżyska, na których świnie rły w poszukiwaniu pokarmu.

Zalesione tereny przeszły w knię i od kilku godzin jechaliśmy w gęstwinie. W ciemności zboczyliśmy z głównego szlaku, którego w ciemności sam diabeł nie zdołałby wypatrzeć. Wokół panowała całkowita cisza przerywana jedynie szelestem liści i trzaskiem zarosli, przez które uciekał dzik lub żbik. Konie obładowane torbami z odzieżą i innymi niezbędnymi sprzętami były wyczerpane podobnie jak my. Czułem, że Genesis jest zmęczony, a Sukey, zwykle pełna energii klacz Baraka, bez sprzeciwu dostosowała się do tempa mojego wierzchowca.

- Zabłądziliśmy - mruknął Barak.

- W gospodzie powiedzieli, żebyśmy podążali na południe głównym traktem przez las. Tak czy owak, wkrótce nadejdzie świt - odrzekłem. - Wówczas zorientujemy się, gdzie jesteśmy.

- Mam wrażenie, że dotarliśmy do Szkocji - odburknął znużonym głosem. - Nie byłbym zaskoczony, gdyby porwano nas dla okupu.

Nie odpowiedziałem, zmęczony jego narzekaniem, toteż jechaliśmy dalej w milczeniu.

Powróciłem myślami do pogrzebu ojca, który odbył się tydzień temu. Ponownie ujrzałem małą garstkę ludzi zgromadzonych wokół grobu i trumnę opuszczaną do dołu. Kuzynka Bess znalazła ojca martwego w łożu, kiedy przyniosła mu jadło.

- Nie wiedziałem, że jest tak poważnie chory - powiedziałem jej, gdy wracaliśmy do domu po uroczystości. - Zaopiekowałbym się nim.

Pokręciła głową ze znużeniem.

- Byłeś daleko, w Londynie. Nie widzieliśmy cię od ponad roku. - Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Miałem trudności, Bess. Mimo to przyjechałbym.

Westchnęła.

- Załamał się, gdy stary William Poer odszedł zeszłej jesieni.

Przez ostatnie lata trudzili się, by gospodarstwo przyniosło zysk. Kiedy William odszedł, twój ojciec się poddał. – Przerwała na chwilę. – Mówiłam mu, że powinien się z tobą skontaktować, lecz tego nie uczynił. Bóg wystawił nas na ciężkie próby. W ubiegłym roku susza, w tym ciągle deszcze. Chyba wstydził się tego, że popadł w kłopoty. Później zabrała go gorączka.

Skinąłem głową. Byłem zaszokowany, gdy dowiedziałem się, że gospodarstwo, na którym się wychowałem i które obecnie stało się moją własnością, jest poważnie zadłużone. Ojciec dobiegał siedemdziesiątki, a jego sługa William był niewiele młodszy. Nie mieli dość siły, aby zajmować się ziemią jak należy, a ostatnie zbiory były mizerne. Aby móc dalej prowadzić gospodarstwo, ojciec musiał obciążyć hipotekę, biorąc pożyczkę u dużego posiadacza ziemskiego z Lichfield. Dowiedziałem się o tym zaraz po śmierci ojca, gdy ów człowiek powiadomił mnie o długu, dając do zrozumienia, iż wątpi, czy wartość gospodarstwa w całości pokryje należność. Podobnie jak wielu ówczesnych właścicieli ziemskich zabiegał o powiększenie pastwisk dla owiec, a udzielanie pożyczek na wysoki procent leciwym gospodarzom było jedną z metod realizacji tego celu.

– Pan Henry to pijawka – odrzekłem z goryczą.

– Co masz zamiar uczynić? Dopuszczasz do ogłoszenia niewypłacalności?

– Nie. Nie zhańbię imienia ojca. Spłacę dług. Bóg wie, że jestem mu to winien.

– Słusznie.

Teraz wstrzymałem konia, słysząc za plecami pełne sprzeciwu rzenie. Barak ściągnął wodze Sukey, zmuszając ją, by stanęła. Zatrzymałem konia i odwróciłem się w siodle. Zarys postaci Baraka wśród drzew stał się nieco wyraźniejszy. Nadchodził świt.

– Spójrz tam! – powiedział, wskazując przed siebie.

W kierunku, który pokazywał, drzewa się przerzedzały. W oddali dostrzegłem czerwone światelko nisko na niebie.

– To lampa, której kazali nam wypatrywać – oznajmiłem triumfalnie. – Zapalają ją na wieży kościoła, aby wskazywała drogę podróżnym. Jesteśmy w lesie Galtres, tak jak mówiłem!

Wyjechaliśmy spomiędzy drzew. Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, od strony rzeki powiał zimny wiatr. Owinęliśmy się szczelnie pelerynami i ruszyliśmy w dół, w kierunku Yorku.



GŁÓWNY TRAKT WIODĄCY DO MIASTA był pełen jucznych koni i fur obładowanych wszelkiego rodzaju żywnością. Sunęły nim też ogromne wozy drwali z niebezpiecznie chybotającymi się kłodami drewna. W oddali majaczyły mury Yorku poczerńiałe od dymu minionych wieków. Nad nimi górowały wieże niezliczonych kościołów, a nad tym wszystkim wznosiły się dumnie bliźniacze wieże Minsteru.

- Taki tu tłok jak na Cheapside w dzień targu – zauważyłem.
- Wiozą te dobra dla okazałej królewskiej świty.

Jechaliśmy powoli w ciżbie tak gęstej, że rzadko udawało się nam poruszać w tempie szybszym od kroku pieszego. Spojrzałem z ukosa na mojego towarzysza. Upłynął ponad rok od czasu, gdy zatrudniłem Jacka Baraka w swojej kancelarii po ścięciu jego dawnego pana. Ten niegdysiejszy londyński ulicznik trafił na służbę do Thomasa Cromwella i wykonywał dla niego podejrzaną robotę. Chociaż był inteligentny, a także potrafił czytać i pisać, wszystko wskazywało na to, że nie jest właściwym kandydatem. Mimo to nie żałowałem podjętej decyzji. Barak bez trudu przystosował się do nowej pracy i wytrwale studiował prawo. Nikt lepiej od niego nie potrafił skłonić świadka do trzymania się sedna sprawy w piśmym oświadczeniu lub rozwikłać zagmatwanej historii, a jego cyniczne, niezależne poglądy na nasz system prawny stanowiły odpowiednią przeciwwagę dla mojego entuzjazmu. Po ostatniej przygodzie z ogniem greckim zaprzyjaźniliśmy się, prosiłem też, by zwracał się do mnie po imieniu.

W ostatnich miesiącach często jednak sprawiał wrażenie przygnębionego, czasem też zapominał o należnym sobie miejscu, przybierając prostacką i szyderczą pozę typową dla okresu, w którym go poznałem. Lękałem się, że praca w kancelarii zaczęła go nużyć, dlatego miałem nadzieję, iż wyprawa do Yorku poprawi mu nastrój. Niestety, jak na londyńczyka przystało, był uprzedzony do północy i jej mieszkańców, co powodowało, że przez całą drogę

skarżył się i narzekał.

Wzdłuż traktu zaczęły pojawiać się domy, a później po prawej wyrósł wysoki stary mur zwieńczony blankami, nad którym zamaczyła ogromna wieża. Mur patrolowali wartownicy w stalowych hełmach i białych bluzach z czerwonym krzyżem, znakiem królewskich łuczników. Zamiast łuków i strzał mieli miecze i budzące trwogę piki. Niektórzy nawet długie rusznice. Zza muru dobiegał przeraźliwy huk i odgłosy kucia.

- To pewnie dawne opactwo Świętej Marii, w którym się zatrzymamy - rzekłem. - Wygląda na to, że praca idzie pełną parą. Chcą przygotować wszystko na przyjazd króla.

- Zajdziemy tam, aby zostawić bagaże?

- Nie, najpierw spotkamy się z Wrenne'em, a następnie pojedziemy do zamku.

- Aby pomówić z więźniem? - zapytał cicho Barak.

- Tak.

Podniósł głowę, spoglądając na mury.

- Opactwo Świętej Marii jest nieźle strzeżone.

- Król nie jest pewny, czy zostanie dobrze przyjęty po tym, co tu się wydarzyło.

Chociaż mówiłem przyciszonym głosem, człowiek prowadzący przed nami jucznego konia obładowanego ziarnem odwrócił się, rzucając nam ostre spojrzenie. Kiedy Barak uniósł brwi, tamten umknął wzrokiem. Ciekawe, czy był jednym z informatorów Rady Północy. Pewnie mieli teraz w Yorku huk roboty.

- Może powinienes przywdziać swoją prawniczą togę - zasugerował Barak, wskazując głową przed siebie. Wozy i handlarze wchodzili na teren opactwa przez dużą furtę w murach. Tuż za nią mur zbiegał się pod kątem prostym z murami miasta. W pobliżu stała wartownia z herbem Yorku - pięcioma białymi lwami na czerwonym polu. Zauważyłem tam więcej straży - wartowników w stalowych hełmach z napierśnikami i pikami. Za murem na tle szarego nieba wznosiły się ogromne wieże Minsteru.

- Zbyttno jestem zmęczony, aby wyciągać ją z torby. - Poklepałem się po kieszeni kubraka. - Mam pełnomocnictwa od szambelana. - Wiozłem też pieczęć Cranmera, lecz mogłem ją pokazać tyl-

ko jednej osobie. Spojrzałem przed siebie i przeszedł mnie dreszcz, chociaż ostrzeżono mnie przed tym widokiem. Na wysokich tyczkach tkwiły cztery odrąbane głowy. Spalone i poczerniałe od słońca, częściowo rozdziobane przez wrony. Wiedziałem, że wiosną aresztowano i stracono w Yorku dwunastu spiskowców, a ich głowy i poćwiartowane ciała ku przestrodze zatknięto na palach we wszystkich bramach miasta.

Przystanęliśmy na końcu małej kolejki, a konie zwiesiły lby ze zmęczenia. Wartownicy zatrzymali lichy odzianego człowieka i wypytywali go ostro o powód przyjazdu do miasta.

- Mogliby się pośpieszyć – szepnął Barak. – Umieram z głodu.
- Wiem. Daj spokój, jesteście następni.

Jeden ze strażników chwycił wodze Genesis, a drugi zapytał, jaki interes sprowadza mnie do Yorku. Przemawiał z południowym akcentem, a jego twarz była surowa i poznaczona zmarszczkami. Pokazałem mu glejt.

- Królewski prawnik? – zapytał.
- Tak. To mój asystent. Przybyliśmy, aby pomóc w rozpatrywaniu petycji adresowanych do Jego Królewskiej Wysokości.
- Miejscowi potrzebują twardej ręki – odparł wartownik, a następnie zwinął list i dał znak, abyśmy ruszali. Przejeżdżając pod barbakanem, wzdrygnąłem się na widok wielkiego kawałka mięsa przybitego do bramy, wokół którego unosiła się chmara much.
- Poćwiartowane ciała buntowników – zauważył Barak z grymasem na twarzy.
- Tak.

Pokiwałem głową na myśl o nieodgadnionych kolejach losu. Gdyby nie spisek wykryty ostatniej wiosny, nie byłoby mnie tu, a król nie wyruszyłby w podróż na północ, największy i najbardziej okazały objazd w dziejach Anglii. We wnętrzu barbakanu rozległ się stukot końskich kopyt, a chwilę później wjechaliśmy do miasta.



TUŻ ZA BRAMĄ BIEGŁA WĄSKA ULICZKA, przy której stały trzypiętrowe domy z wystającymi na zewnątrz dachami. Przed nimi ciągnął się rząd straganów. Kupcy przycupnęli na klocach drewna i gromko

zachwalali swój towar. Uderzył mnie ubogi wygląd Yorku. Niektóre z domostw wymagały pilnej naprawy. W miejscu, gdzie odpadł tynk, widniały poczerńnięte belki. Uliczki niewiele się różniły od błotnistego traktu. Gęsta ciżba powodowała, że posuwaliśmy się z trudem, wiedziałem jednak, iż Wrenne, podobnie jak wszyscy czołowi prawnicy, mieszka w zaułku Minster Close, który łatwo odnaleźć, albowiem gmach Minsteru górował nad miastem.

- Jestem głodny - oznajmił Barak. - Zjedzmy śniadanie.

Przed nami ukazała się kolejna wysoka zaporą. Pomyślałem, że York to miasto murów. W oddali majaczył zarys Minsteru, przed nami zaś rozciągał się duży plac wypełniony straganami osłoniętymi jaskrawymi markizami łopoczącymi w powiewach chłodnego, wilgotnego wiatru. Gospodynie w ciężkich spódnicach wyklócały się ze straganiarzami, rzemieślnicy w jasnych barwach swego cechu pogardliwie spoglądali na wyłożone towary, a obdarta działta i psy myszkowali w poszukiwaniu resztek. Strażnik w liberii z herbem miasta stał nieopodal, obserwując tłuszcę.

Grupka wysokich, jasnowłosych mężczyzn z psami wiodła na skraj targowiska stadko osobliwych owiec o czarnych łbach. Spojrzałem z zaciekawieniem na ogorzałe twarze mężczyzn i ciężkie wełniane kurtki. Musieli to być legendarni mieszkańcy północnych hrabstw, stanowiący trzon rebelii, która wybuchła tutaj pięć lat temu. Minąłem również duchownych w czarnych habitach i kapelanów w brązowych kapturach na głowie, gdy wchodzili i wychodzili przez furtę prowadzącą do Minsteru.

Barak podjechał do straganu z jadłem, pochylił się i z końskiego grzbietu zapytał, ile kosztują dwa pierogi z baraniną. Kupiec spojrzał pytająco, nie rozumiejąc jego londyńskiego akcentu.

- Przybyliście z południa? - burknął.

- Tak, zgłodnieliśmy. Ile chcecie... za dwa... pierogi? - Barak mówił głośno i powoli, jakby rozmawiał z idiotą.

Straganiarz rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Moja to wina, że gdacze jak kaczką? - zapytał.

- A wy cedzicie słowa, jakby kto przesuwiał nożem po patelni.

Dwaj rośli mężczyźni z północnych dolin, którzy przechodzili między straganami, przystanęli i spojrzeli w naszą stronę.

- Czy ten pies z południa cię niepokoi? – zapytał kupca jeden z nich. Drugi ujął wielkim stwardniałym łapskiem wodze Sukey.

- Puszczaś, chamie – rzucił groźnie Barak.

Ze zdumieniem dostrzegłem wściekłość malującą się na twarzy tamtego.

- Chojrak z południa. Myśli, że skoro do miasta przyjedzie tłusty Henryk, może nas znieważać do woli.

- Pocałuj mnie w dupę – odparł Barak, uważnie obserwując nieznanego.

Gdy ten sięgnął po miecz, dłoń Baraka też powędrowała w kierunku pochwy.

- Wybaczcie, panie – odezwałem się spokojnie, choć serce waliło mi gwałtownie. – Mój człowiek nie chciał wyrządzić krzywdy kramarzowi... jechaliśmy całą noc...

Tamten spojrzał na mnie z odrazą.

- Pan garbus? Przyjechałeś, aby pozbawić nas reszty pieniędzy? – Zaczął wyciągać miecz, lecz zamarł, czując na piersi ostrze piki. Podbiegło do nas dwóch strażników miejskich, wyczuwając nadciągające kłopoty.

- Ręce precz od mieczy! – krzyknął jeden, mierzając piką w serce tamtego. Drugi skierował pikę w stronę Baraka. Wokół nas zebrał się tłum ciekawskich.

- O co poszło? – spytał gniewnie strażnik

- Ten z południa obraził straganiarza! – zawołał ktoś z cizby.

Strażnik skinął głową. Był korpulentnym mężczyzną w średnim wieku, o przenikliwych oczach.

- Ci z południa są pozbawieni ogłady – zauważył głośno. – Powinieneś być się tego spodziewać, straganiarzu. – W tłumie rozległy się śmiechy, któryś z gapiów zaklaskał.

- Chcieliśmy jedynie kupić dwa pierogi – rzekł Barak.

Strażnik skinął głową handlarzowi.

- Podaj mu dwa.

Straganiarz wręczył Barakowi dwa baranie pierogi.

- Ile?

Handlarz uniósł wzrok ku niebu.

- Jedną sześciopensówkę.

- Za dwa pierogi? – spytał z niedowierzaniem Barak.
- Zapłać mu – prychnął strażnik.

Widząc, że Barak się waha, wcisnąłem mu pośpiesznie dwie monety. Straganiarz sprawdził je ostentacyjnie zębami, a następnie wsunął do sakwy. Strażnik nachylił się ku mnie i szepnął:

- A teraz zmiatajcie stąd, panie. I powiedzcie swojemu człowiekowi, aby baczył, jak się zachowuje. Chyba nie chcecie wywoływać burd przed wizytą króla? – Z uniesionymi brwiami obserwowałem, jak odjeżdżamy w stronę furty Minsteru. Zsiedliśmy sztywno przy ławie opartej o mur, przywiązaliśmy konie i usiedliśmy.

- Ależ mnie bołą nogi – rzekł Barak.
- Mnie też. – Miałem wrażenie, że nie należą do mnie, a plecy dokuczały mi okrutnie.

Barak ugryzł pieróg.

- Dobry – powiedział z lekka zaskoczony.
- Musisz baczyć na słowa – odezwałem się cicho. – Wiesz, że nas tu nie lubią.
- Odwzajemniam to uczucie. Głupcy. – Rzucił gniewne spojrzenie w kierunku straganiarza.

- Posłuchaj – kontynuowałem przyciszonym głosem. – Stara ją się zachować spokój. Jeśli będziesz traktował ludzi tak jak tego straganiarza, nie tylko skończymy z mieczem w brzuchu, lecz zakłócimy królewską podróż. Naprawdę tego pragniesz?

Nie odpowiedział, tylko zmarszczył brwi, wpatrując się w swoje stopy.

- Co się z tobą dzieje? – zapytałem. – Od kilku tygodni jesteś dziwnie rozdrażniony. Kiedyś potrafiłeś utrzymać język na wodzy. Miesiąc temu narobiłeś mi kłopotów, podczas rozprawy nazywając sędziego Jacksona starą gąsienicą o czerwonych oczach.

Spojrzał na mnie z tym swoim szelmowskim uśmiechem.

- Wiesz, że to prawda.

Nie zdołałem stłumić śmiechu.

- O co chodzi, Jack?

Wzruszył ramionami.

- O nic. Nie podoba mi się tutaj, nie lubię przebywać wśród tępych prostaków. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Przepraszam za

kłopot. Będę się lepiej pilnował.

Wiedząc, że trudno mu wykrztusić słowo „przepraszam”, skinąłem głową. Mimo to byłem pewny, że jego nastrój nie był wywołany jedynie niechęcią do północy. Spojrzałem w zamyśleniu na swój pieróg. Barak przypatrywał się targowisku badawczym wzrokiem.

- Interesy kiepsko idą – zauważył.

- Handel od wielu lat utyka. Likwidacja klasztorów jedynie pogorszyła sytuację. W tej części kraju było wiele majątków zakonnych. Jeszcze trzy lub cztery lata temu wielu kupujących nosiłoby duchowne lub zakonne szaty.

- Teraz to już przeszłość. – Barak dokończył pieróg i otarł usta dłonią.

Wstałem na sztywnych nogach.

- Poszukajmy Wrenne’a i odbierzmy nasze rozkazy.

- Sądziś, że ujrzymy króla, gdy przybędzie do miasta? – zapytał Barak. – Z bliska?

- To możliwe.

Wydał policzki. Z radością stwierdziłem, że nie tylko ja czułem się onieśmielony tą perspektywą.

- W jego orszaku będzie dawny wróg, którego lepiej unikać – dodałem.

Odwrócił się gwałtownie.

- Kto?

- Sir Richard Rich. Przybędzie wraz z królem i członkami Tajnej Rady Królewskiej. Cranmer mi o tym powiedział. Jak mówiłem, bacz, co czynisz. Nie ściągać na nas uwagi. Jeśli to możliwe, powinniśmy trzymać się z boku.

Odwiązaliśmy konie i doprowadziliśmy je pod bramę, gdzie kolejny wartownik skierował pikę w naszą pierś. Ponownie wyciągnąłem list z pełnomocnictwem i zostaliśmy wpuszczeni do środka. Przed nami stanął ogromny gmach Minsteru.

Rozdział drugi

Jest olbrzymi. – Barak westchnął. Znaleźliśmy się na szerokim kamiennym dziedzińcu, wokół którego stały domy o zaokrąglonych rogach, ocienione przez bryłę Minsteru.

– To największy gmach na północy kraju. Wielkością nie ustępuje katedrze Świętego Pawła. – Spojrzałem na ogromne wrota pod misternie zdobionym łukiem; w pobliżu rozmawiali ludzie prowadzący interesy. Poniżej, na stopniach schodów, przysiedli żebracy z miseczkami na jałmużnę. Czulem pokusę, aby zajrzeć do środka, lecz odwróciłem się, jako że powinniśmy byli zameldować się u Wrenne’a wczoraj. Przypomniałem sobie otrzymane wskazówki i zwróciłem kroki ku domowi z królewskim herbem nad drzwiami. – Tam – rzekłem. Powiedliśmy konie przez podwórzec, uważając, aby nie poślizgnąć się na liściach, które opadły z drzew rosnących wokół zaułka.

– Wiesz, jakim człowiekiem jest ten Wrenne? – spytał Barak.

– Wiem jedynie, że to znany obrońca z Yorku, który często pracował dla Korony. Sądzę, że to mężczyzna posunięty w latach.

– Miejmy nadzieję, że nie trafimy na drżącego staruszka niezdolnego do żadnej pracy.

– Zapewne jest kompetentny, skoro rozpatruje petycje kierowane do króla. Musi się też cieszyć zaufaniem naszego władcy.

Wprowadziliśmy konie w uliczkę, przy której stały ciasno stłoczone stare domy. Kazano mi szukać narożnej kamienicy po

prawej. Okazała się wysoka i bardzo stara. Zapukałem do drzwi. Po chwili usłyszałem dźwięk kroków i ujrzałem starszą kobietę. Miała pomarszczoną okrągłą twarz okoloną siwymi włosami. Spojrzała na mnie badawczym wzrokiem.

- Słucham?
- Czy pan Wrenne jest u siebie?
- Przybywacie z Londynu?

Uniosłem lekko brwi, słysząc taki brak szacunku.

- Tak, nazywam się Matthew Shardlake, a to mój asystent, pan Barak.

- Spodziewaliśmy się panów wczoraj. Pan się o was niepokoił.
- Zabłądziliśmy w lesie Galtres.
- Nie wy jedni.

Wskazałem głową konie.

- Jesteśmy utrudzeni. My i nasze wierzchowce.
- Potwornie utrudzeni - dodał wymownie Barak.
- Wejdźcie do środka. Zawołam stajennego. Odprowadzi konie i je oporządzi.

- Dziękujemy.

- Pan wyszedł w interesach, wróci niebawem. Jesteście głodni, jak mniemam.

- Dziękujemy pani - odparłem, choć po zjedzeniu pieroga mój głód osłabł.

Kobieta odwróciła się i wolnym krokiem wprowadziła nas do holu urządzonego w dawnym stylu, z umieszczonym pośrodku paleniskiem. Na nim spoczywały świeże polana, a dym wznosił się leniwie do otworu kominowego wśród poczerwiałych krokwi. Na kredensie leżały ładne srebrne sztuce, lecz zasłona za stojącym na podeście stołem sprawiała wrażenie zakurzonej. Sokół wędrowny o wspaniałym szarym upierzeniu siedział na żerdzi obok ognia. Zwrócił ku nam olbrzymie oczy drapieżcy, gdy przypatrywałem się stertom książek rozrzuconym po całej izbie, na krzesłach, na drewnianej skrzyni i przy ścianach, w stosach gotowych runąć w każdej chwili. Z wyjątkiem biblioteki nigdy nie widziałem tylu ksiąg w jednym miejscu.

- Widzę, że pani chlebodawca jest miłośnikiem książek - za-

uważyłem.

- Tak - odparła staruszka. - Przyniosę zupę - rzekła na odchodnym.

- Nie zawadziłaby odrobina piwa! - zawołał za nią Barak, sadowiąc się na ławie przykrytej owczą skórą i poduszkami. Podniosłem duże stare tomiszcze oprawione w cielejącą skórę, otworzyłem i uniosłem brwi ze zdumienia.

- Na Boga, toż to jeden ze starych woluminów ręcznie zdobionych przez mnichów. - Odwróciłem kilka stronic. Była to pięknie kaligrafowana i iluminowana *Historia ecclesiastica gentis Anglorum* Bedy Czcigodnego.

- Wszystkie te książki powinny były trafić do ognia - zauważył Barak. - Mistrz Wrenne nie jest wystarczająco ostrożny.

- Słusznie prawisz. Nie jest też zwolennikiem reform. - Odłożyłem księgę na miejsce, kaszląc z powodu obłoku kurzu, który wzbił się w górę. - Dobry Jezu, ta gospodyni nie garnie się do roboty.

- Odniosłem wrażenie, że wołałaby ją złożyć na moje barki. Jeśli jest równie stara jak Wrenne, może być kimś więcej niż gospodynią. Nie mniej przesadnego mniemania o jego guście. - Barak usadowił się na poduszkach i zamknął powieki.

Ja umościłem się w fotelu, próbując jak najwygodniej ułożyć zeszytwniałe nogi. Oczy poczęły mi się zamykać, gdy staruszka wróciła, niosąc tacę z dwiema miskami zupy i dwoma kuflami piwa. Zaczęliśmy jeść nazbyt ochoczo, lecz zupa okazała się pozbawiona smaku i przypraw, choć sycąca. Później Barak ponownie zamknął powieki. Zastanawiałem się, czy nie dać mu kuksańca, albowiem rzeczą nieobyczajną jest drzemanie w izbie gospodarza, wiedziałem jednak, że jest zmęczony. W domu panowała cisza - słychać było tylko hałas dolatujący przez okna i cichy trzask ognia. Zamknąłem oczy podobnie jak Barak. Przesunąłem dłonią po kieszeni, w której spoczywała pieczęć arcybiskupa Cranmera, cofając się myślami kilka tygodni, kiedy wszystko się zaczęło.



OSTATNI ROK BYŁ DLA mnie wyjątkowo trudny. Po upadku Crom-

wella uważano za niebezpieczne utrzymywanie kontaktów z jego dawnymi współpracownikami, dlatego straciłem sporo klientów. Pogwałciłem też niepisaną regułę, reprezentując radę Londynu w sporze z prawnikiem należącym do korporacji Lincoln's Inn. Stephen Bealknap mógł być jednym z największych łotrów, których Bóg raczył umieścić na tym padole, lecz mimo to naruszyłem zasadę solidarności zawodowej, występując przeciw niemu. Niektórzy koledzy, którzy wcześniej podsylali mi klientów, teraz mnie unikali. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że Bealknap miał za sobą jednego z najmożniejszych patronów w kraju – sir Richarda Richa, przewodniczącego Sądu do spraw Majątku Likwidowanych Klasztorów. Na początku września otrzymałem wiadomość o śmierci ojca. Później, pewnego ranka, gdy byłem jeszcze pogrążony w szoku i bólu, zastałem w kancelarii zatroskanego Baraka.

– Muszę z wami pomówić, panie – oznajmił, spoglądając na mojego sekretarza, Skelly'ego, który kopiował teksty z okularami na nosie połyskującymi w promieniach słońca wpadających przez okno. Wskazał głową mój gabinet. – Gdy wyjechaliście, przybył do was posłaniec – zaczął, skoro tylko drzwi się za nami zamknęły. – Z pałacu Lambeth. Arcybiskup Cranmer chce się z wami widzieć dziś wieczorem o ósmej.

Ciężko opadłem na krzesło.

– Miałem nadzieję, że wizyty możnych w końcu ustaną. – Spojrzałem badawczo na Baraka, jako że misja, której podjęliśmy się rok temu dla Cromwella, przysporzyła nam kilku wpływowych wrogów. – Sądzisz, że może nas to narazić na niebezpieczeństwo? Doszły cię jakieś plotki? – Wiedziałem, że Barak w dalszym ciągu utrzymuje kontakty z ludźmi służącymi na królewskim dworze.

Pokręcił głową.

– Nie miałem żadnych wieści od czasu, gdy dano mi znać, że nic nam nie grozi.

Odetchnąłem głęboko.

– W takim razie sprawdzę, o co chodzi.

Tego dnia z trudem koncentrowałem się na pracy. Wyszedłem wcześniej, aby wrócić do domu na obiad. Gdy zmierzałem w stronę bramy, ujrzałem wysoką, chudą postać w eleganckiej jedwabnej to-

dze, z jasnymi puklami włosów wystającymi spod czapki. Stephen Bealknap. Najbardziej szemrany i chciwy prawnik, jakiego znałem.

- Witam, kolego Bealknap - rzekłem grzecznie, zgodnie z obyczajem obowiązującym w korporacji.

- Witam, kolego Shardlake. Słyszałem, że nie wyznaczono daty naszego procesu przed Sądem Kanclerskim. Są niezwykle powolni. - Pokręcił głową, choć wiedziałem, że jest rad z opóźnienia. Przedmiotem sporu były budynki małego opactwa nieopodal Crippleghate, które Bealknap nabył. Przekształcił je w nędzną kamienicę czynszową, nie zadbawszy należycie o odprowadzenie nieczystości, co wielce uprzykrzyło życie lokatorom sąsiednich domów. Spór szedł o to, czy przysługuje mu należne klasztorom wyjęcie spod władzy rady miasta. Popierał go Richard Rich, przewodniczący Sądu do spraw Majątku Likwidowanych Klasztorów, gdyby bowiem Bealknap przegrał sprawę, wartość rynkowa tych nieruchomości uległaby znacznemu obniżeniu.

- Kancelaria Sześciu Urzędów nie potrafi wytłumaczyć opóźnienia - powiedziałem Bealknapowi. Kilkakrotnie wysyłałem do nich Baraka, który potrafił być nieznośny, aby im palnął kazanie. Bez rezultatu. - Może twój przyjaciel Richard Rich zna przyczynę. - Natychmiast pożałowałem wypowiedzianych słów, albowiem sugerowałem, że sędzia sądu królewskiego jest przekupny. Uchybienie to dowodziło, jak silnego napięcia doświadczam.

Bealknap pokręcił głową.

- Przykry z was człowiek, kolego, skoro sugerujecie takie rzeczy. Cóż rzekłby na to skarbnik naszej korporacji?

Zagryzłem wargi.

- Wybaczcie, cofam swoje słowa.

Bealknap uśmiechnął się szeroko, odsłaniając paskudne żółte zęby.

- Przebaczam wam, kolego. Kiedy perspektywy rozstrzygnięcia nie są zachęcające, zgryzota powoduje, że człowiek się czasem zapomni. - Skłonił się i poszedł dalej.

Patrzyłem za nim, żałując, że nie wymierzyłem tęgiego kopniaka w jego kościsty zadek.

PO OBIEDZIE PRZYWIDZIAŁEM PRAWNICZĄ togę, przeprawilem się łodzią na drugi brzeg i ruszyłem do pałacu Lambeth. W Londynie przez całe lato panował spokój, gdyż król i jego dwór przenieśli się na północ Anglii. Wiosną rozeszły się plotki, że w hrabstwie York udaremniono rebelię, król zaś zdecydował się odbyć wielką podróż, aby wzbudzić respekt i podziw mieszkańców północy. Powiadano, że Henryk i jego doradcy są wielce zatrwożeni ostatnimi wypadkami. Mieli ku temu powody. Pięć lat wcześniej cała północna Anglia zbuntowała się przeciw zmianom religijnym. Zorganizowano wówczas Pielgrzymkę Łaski, armię buntowników liczącą trzydzieści tysięcy zbrojnych. Król doprowadził do rozejścia się wojska, składając fałszywe obietnice, a następnie powołał własną armię, by pokonać rozproszonych. Mimo to wszyscy lękali się, że północ powstanie ponownie.

Przez cały czerwiec dostawcy królewscy krążyli po Londynie, ogałacając z żywności i innych produktów wszystkie kramy i magazyny, mówiono bowiem, że na północ wyruszą trzy tysiące ludzi. Mieszkańcom miasta trudno było pojąć tak wielką liczbę. Kiedy wyruszono w końcu czerwca, kolumna ciągnących traktem wozów miała długość ponad mili. Przez całe deszczowe lato w Londynie panowała dziwna cisza.

Kiedy przewoźnik płynął obok wieży Lollardów, mijając północny kraniec pałacu Lambeth, w słabnących promieniach słońca ujrzałem światło odbijające się od okna arcybiskupiego więzienia na szczycie wieży, w którym przetrzymywano heretyków. Niektórzy nazywali je oczami Cranmera spoglądającymi na Londyn. Po chwili przybiliśmy do stopni Wielkich Schodów. Strażnik wpuścił mnie do środka i poprowadził przez dziedziniec do Wielkiej Sali, gdzie mnie pozostawił.

Stałem przez chwilę, podziwiając wspaniałe belki stropu. Później zjawił się, bezszelestnie stąpając, urzędnik odziany w czarną szatę.

- Arcybiskup was oczekuje - rzekł cicho, a następnie powiódł mnie labiryntem mrocznych korytarzy, stawiając cicho stopy na siłowni, którym włożono posadzkę.

W końcu dotarliśmy do małego gabinetu o niskim sklepieniu. Thomas Cranmer siedział za biurkiem, czytając dokumenty w świetle świec płonących na kinkiecie. W kominku żywo buchał ogień. Złożyłem głęboki pokłon przed wielkim arcybiskupem, który obalił władzę papieża, zaślubił króla z Anną Boleyn i był przyjacielem oraz współpracownikiem Thomasa Cromwella we wszystkich jego reformatorskich działaniach. Po upadku Cromwella wielu sądziło, że Cranmera czeka katowski pień, arcybiskup zdołał jednak przeżyć mimo wstrzymania reform. Henryk powierzał jego pieczy Londyn, gdy wyjeżdżał z miasta. Powiadano, że ufa mu jak nikomu innemu.

Głębokim, cichym głosem Cranmer polecił, abym usiadł. Wcześniej oglądałem go jedynie z oddali, gdy wygłaszał kazania. Dziś miał na sobie biały habit z futrzaną stulą, zdjął jednak czapkę, odsłaniając gęstwinę czarnych, siwiejących włosów. Zauważyłem bladłość na jego owalnej twarzy oraz linię zmarszczek wokół pełnych warg. Przede wszystkim jednak moją uwagę przykuły jego oczy – duże i ciemnoniebieskie. Gdy mi się przypatrywał, dostrzegłem w nich niepokój, wewnętrzny konflikt i furję.

– Jesteś pan Matthew Shardlake? – spytał, uśmiechając się przyjaźnie, abym poczuł się swobodnie.

– Tak, wasza ekscelencjo.

Usiadłem na twardym krześle naprzeciw niego. Na piersi arcybiskupa lśnił duży srebrny pectorał.

– Co słyhać w Lincoln's Inn?

Zawahałem się.

– Bywało lepiej.

– Nadeszły ciężkie czasy dla tych, którzy współpracowali z lordem Cromwellem.

– Tak, wasza ekscelencjo – odparłem ostrożnie.

– Chciałbym, aby wreszcie zdjęli jego głowę z Mostu Londyńskiego. Widzę ją za każdym razem, gdy przejeżdżam tamtędy... a właściwie to, co pozostawiły z niej mewy.

– Przykry to widok.

– Jak pewnie wiecie, odwiedziłem go w Tower. Wypowiadałem. Opowiedział mi o ostatniej misji, którą wam zlecił.

Wytrzeszczyłem oczy, czując zimny dreszcz mimo żaru idącego od ognia. Zatem Cranmer wiedział o wszystkim.

- Opowiedziałem królowi o poszukiwaniu czarnego ognia... kilka miesięcy temu. - Wstrzymałem oddech, lecz Cranmer uśmiechnął się, wznosząc ozdobioną pierścieniami dłoń. - Poczekalem, aż gniew króla na Cromwella, związany ze sprawą małżeństwa z Anną Kliwijską, osłabnie i zacznie mu brakować rady Cromwella. Ludzie odpowiedzialni za to, co się stało, stąpają po kruchym lodzie. Chociaż zaprzeczają, że brali w tym udział, tają prawdę i lżą.

Przez moją głowę przemknęła niepokojąca myśl.

- Czy król wie o moim udziale, wasza ekscelencjo?

Pokręcił głową.

- Lord Cromwell prosił, abym nie mówił o was królowi. Wiedział, że służyliście mu jak najlepiej i że wolicie, aby o was nie wspominać.

Zatem u kresu swojego życia myślał o mnie życzliwie. Srogi, wielki człowiek stojący w obliczu strasznej śmierci. Poczułem lży w kącikach oczu.

- Mimo surowych metod, które stosował, miał wiele znakomitych przymiotów, panie Shardlake. Powiedziałem królowi, że śledztwo prowadzili ludzie lorda Cromwella. Jego Wysokość nie wypytywał o szczegóły, choć był rozgniewany na tych, którzy go oszukali. Niedawno oznajmił księciu Norfolk, iż żałuje, że nie może mieć u swojego boku lorda Cromwella. Powiedział, że podstępem skłonił go do stracenia najwierniejszego sługi. Bo i tak było. - Cranmer spojrzał na mnie poważnym wzrokiem. - Lord Cromwell rzekł mi, iż jesteście człowiekiem niezwyklej dyskrecji, potrafiącym utrzymać w sekrecie największe tajemnice.

- To jedno z wymagań mojego fachu.

Arcybiskup się uśmiechnął.

- W siedlisku plotki, jakim są korporacje prawnicze? Nie, lord Cromwell mówił, że wasza dyskrecja jest wyjątkowa.

Zrozumiałem nagle, że uwięziony w Tower Cromwell powiedział Cranmerowi o ludziach, którzy mogą być mu użyteczni.

- Z przykrością dowiedziałem się o śmierci waszego ojca - cią-

gnął arcybiskup.

Zrobiłem wielkie oczy. Skąd, u licha, o tym wiedział? Zauważył to i uśmiechnął się ponuro.

- Zapytałem skarbnika waszej korporacji, czy jesteście w Londynie. Opowiedział mi o wszystkim. Chciałem z wami pomówić. Niech Bóg da wieczne odpoczywanie duszy waszego ojca.

- Amen, wasza ekscelencjo.

- Mieszkał w Lichfield, czy tak?

- Tak. Muszę tam pojechać na dwa dni na pogrzeb.

- Król bawi obecnie na dalekiej północy. W Hatfield. Z powodu lipcowych deszczów wielka podróż napotyka poważne przeszkody. Kurierzy przybywają spóźnieni, a królewskie życzenia są często trudne do spełnienia. - Pokiwał głową, a jego twarz przybrała zmęczony wyraz. Powiadano, że Cranmer nie jest zręcznym politykiem.

- Kiepskie mamy lato - zauważyłem. - Równie wilgotne, jak poprzednie było suche.

- Bogu dzięki, że w ostatnim czasie pogoda się poprawiła. Królowa źle się czuła.

- Ludzie powiadają, że spodziewa się dziecka.

Arcybiskup zmarszczył brwi.

- Plotki - uciął. Milczał przez chwilę, próbując zebrać myśli, a następnie podjął przerwany wątek: - Jak pewnie wiecie, w królewskim orszaku jest kilku prawników. To największa podróż królewska w dziejach Anglii, a obecność prawników jest niezbędną, by rozstrzygać zatargi na dworze oraz spory z okolicznymi dostawcami. - Wziął głęboki oddech. - Król przyobiegał też mieszkańcom północy wymierzenie sprawiedliwości. W każdym mieście wzywa obywateli do zgłaszania skarg przeciw miejscowym urzędnikom, trzeba więc prawników, aby je zbadać. Oddzielić głupie i błahe, podjąć działania rozjemcze tam, gdzie to możliwe, i przesłać resztę spraw Radzie Północy. Jeden z królewskich prawników zmarł niedawno. Nieszczęśnik nabawił się zapalenia płuc. Biuro szambelana przesłało list z prośbą o oddelegowanie kogoś w jego miejsce, aby dołączył do królewskiego orszaku w Yorku, będzie tam bowiem wiele spraw do rozpatrzenia. Wówczas przypomniałem sobie o

was.

- Panie... - Spodziewałem się czegoś innego. Arcybiskup chciał mi wyświadczyć przysługę.

- W Lichfield będziecie w pół drogi. Tym lepiej. Za miesiąc powrócicie razem z królem, zyskawszy pięćdziesiąt funtów za swoją pracę. Możecie zabrać tylko jednego człowieka. Lepiej asystenta niż osobistego służącego.

Była to hojna propozycja, nawet jak na wysokie apanaże płacone w służbie dla króla. Mimo to zawahałem się, nie miałem bowiem ochoty zbliżyć się ponownie do królewskiego dworu. Wziąłem głęboki oddech.

- Wasza ekscelencjo, słyszałem, że królowi towarzyszy sir Richard Rich.

- Tak. Wiem, że Rich stał się twym wrogiem z powodu śledztwa dotyczącego czarnego ognia.

- Prowadzę sprawę, która go interesuje. Z całych sił będzie próbował mi przeszkodzić.

Arcybiskup pokręcił głową.

- Nie będziesz się musiał kontaktować z Richem ani żadnym z królewskich doradców. Rich jest tam w roli przewodniczącego Sądu do spraw Majątku Likwidowanych Klasztorów. Doradza też królowi w sprawie rozdziału ziem, które odebrano w hrabstwie York uczestnikom rebelii. Król i jego doradcy nie zajmują się petycjami. Wszystkie sprawy załatwiają prawnicy.

Zawahałem się. Przyjęcie propozycji arcybiskupa rozwiązałyby moje kłopoty finansowe, umożliwiło spełnienie obowiązku wobec zmarłego ojca. Co więcej, poruszyła mnie myśl o udziale w wielkim widowisku. Mogła być to podróż mojego życia, mogła mi też pomóc zapomnieć o zmartwieniach.

Arcybiskup pochylił głowę.

- Zdecydujcie, panie Shardlake. Mam mało czasu.

- Pojadę, wasza ekscelencjo - odrzekłem. - Dziękuję.

Cranmer skinął głową.

- Dobrze. - Po tych słowach pochylił się do przodu i z ciężkich rękawów szaty wysunął na biurko kilka dokumentów. - Mam też dla was małą misję o poufnym charakterze - powiedział. - Chciał-

bym, abyście zrobili coś dla mnie w Yorku.

Wstrzymałem oddech. Dałem się wciągnąć w pułapkę. Okazało się, że wcale nie jest takim złym dyplomatą.

Arcybiskup pokręcił głową, widząc moją reakcję.

– Nie fraszujcie się. Sprawa nie jest niebezpieczna, a misja wydaje się godna. Wymaga jedynie pewnego taktu i ponad wszystko... – spojrzał na mnie bacznie – dyskrekcji.

Zacisnąłem wargi. Cranmer zetknął czubki palców dłoni i spojrzał mi prosto w oczy.

– Wiecie, jaki jest cel podróży króla na północ? – zapytał.

– Okazanie władzy królewskiej w zbuntowanych częściach kraju, umocnienie władzy.

– Powiadają, że Bóg stworzył północ na ostatku – rzekł Cranmer z nieoczekiwanym gniewem. – Zamieszkują ją dzikie ludy nadal uwikłane w papieską herezję.

Skinąłem głową, lecz nic nie odpowiedziałem, czekając, aby ujawnił, o co chodzi.

– Lord Cromwell ustanowił na północy silne rządy po buncie, który wybuchł pięć lat temu. Nowa Rada Północy opłaca licznych szpiegów i dobrze czyni, albowiem spisek, który wykryto ostatniego wiosny, okazał się poważny. – Wpatrywał się we mnie płonącym wzrokiem. – Poprzednim razem domagali się jedynie, aby król odsunął doradców sprzyjających reformom.

Podobnych do ciebie, pomyślałem. Wiedziałem, że chętnie spaliliby Cranmera na stosie.

– Tym razem ogłosili go tyranem, chcieli obalić. Zamierzali zawrzeć sojusz ze Szkotami, chociaż mieszkańcy północy zawsze ich nienawidzili, uważając za gorszych barbarzyńców od siebie. Gdyby ich plany nie wyszły na jaw, Bóg jeden wie, co by się stało.

Zaczerpnąłem powietrza. Arcybiskup zdradzał mi tajemnice, o których wołałem nie wiedzieć. Sekrety, które mogły mnie z nim związać.

– Nie udało się pojmać wszystkich spiskowców. Wielu schroniło się w górach. Nie wiemy, co knują. W Yorku przebywa jeden z nich, niedawno pojmany. Mają go przewieźć łodzią do Londynu. To sir Edward Broderick. – Cranmer zacisnął wargi i na chwilę na

jego twarzy pojawił się lęk. – Nadal nie znamy całego planu spiskowców. Znała go jedynie nieliczna garstka, przypuszczamy, że do wtajemniczonych należał Broderick. Król wysłał swoich ludzi do Yorku, lecz ci nic nie wskórali. Broderick jest uparty jak diabeł. Mają go przetransportować z Yorku do Hull w zamkniętym wozie, kiedy dotrze tam królewski dwór, a następnie wysłać łodzią do Londynu pod strażą najbardziej lojalnych i zaufanych ludzi. Król chce być w Londynie, gdy Broderick będzie przesłuchiwany. Można to bezpieczne uczynić jedynie w Tower. Tylko tam możemy mieć pełne zaufanie do przesłuchujących i pewność, że zdołają wydobyć z niego prawdę.

Wiedziałem, co to oznacza. Tortury. Wziąłem głęboki oddech.

– Na czym ma polegać moja misja, wasza ekscelencjo?

Jego odpowiedź wprowadziła mnie w zdumienie.

– Masz dopilnować, aby cały i zdrowy dotarł do Londynu.

– Czyż nie będzie się znajdował pod opieką króla?

– Księżę Suffolk odpowiada za przebieg królewskiej wizyty. I to on wybrał strażnika pilnującego Brodericka, człowieka, do którego ma zaufanie. Nawet on nie wie jednak, o co podejrzewamy jego więźnia. Za bezpieczeństwo Brodericka, który przebywa w więzieniu na zamku w Yorku, odpowiada niejaki Fulke Radwinter.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Mianowano go pośpiesznie, co trochę mnie... niepokoi. – Arcybiskup wydał wargi, a następnie położył na biurku mosiężną pieczęć. – Radwinter ma doświadczenie w pilnowaniu i przesłuchiowaniu... heretyków. To człowiek wielkiej wiary, można mu ufać, pilnie będzie strzegł Brodericka. – Wziął głęboki oddech. – Czasem bywa jednak zbyt surowy. Jeden z jego więźniów... zmarł. – Arcybiskup gniewnie zmarszczył brwi. – Chcę mieć na miejscu człowieka, który dopilnuje, aby Broderick dotarł bezpieczne do Tower.

– Rozumiem.

– Napisałem już do księcia Suffolk i uzyskałem jego zgodę. Myślę, że zrozumiał, o co mi idzie. – Podniósł pieczęć i położył ją przede mną. Duży owalny romb z nazwiskiem i urzędem Cranmera wypisanym na brzegu po łacinie i umieszczoną centralnie sceną biczowania Chrystusa. – Chcę, abyś wziął to na dowód władzy, jaką

ci przyznaję. Będziesz odpowiadał za bezpieczeństwo Brodericka w Yorku oraz podczas podróży do Londynu. Nie będziesz mógł z nim rozmawiać, chyba że w grę będzie wchodzić jego bezpieczeństwo. Dopilnujesz, aby nie spotkało go nic złego. Radwintar wie, że kogoś przyślę, i uszanuje moją decyzję. – Arcybiskup ponownie uśmiechnął się ponuro. – To mój człowiek. Strzeże więźniów podlegających mej jurysdykcji w wieży Lollardów.

– Rozumiem – rzekłem obojętnie.

– Jeśli więzień zostanie zbyt mocno skrupowany, poluzuj więzy, dbając jednak, aby pozostały solidne. Jeśli będzie głodny, daj mu jeść. Jeśli zachoruje, dopilnuj, aby otrzymał pomoc medyczną. – Cranmer się uśmiechnął. – Czyż nie jest to misja miłosierdzia?

Odetchnąłem głęboko.

– Panie – rzekłem – zdecydowałem się ruszyć do Yorku, aby pomóc w rozpatrywaniu skarg kierowanych do króla. Poprzednie misje państwowe, których się podjąłem, wiele mnie kosztowały. Teraz wolałbym, jak rzekł lord Cromwell, pozostać prywatnym człowiekiem. Widziałem ludzi umierających potworną śmiercią...

– Dopilnuj zatem, aby ten dotarł do mnie bezpiecznie – powiedział cicho Cranmer. – W dobrym stanie. Tego jedynie pragnę, sądzę też, że jesteś odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania. Kiedyś sam byłem osobą prywatną, kolego Shardlake. Nauczałem w Cambridge. Aż pewnego dnia król wezwał mnie do siebie w sprawie przeprowadzenia rozwodu. Czasami Bóg powołuje nas do niewdzięcznej misji. Wówczas... – jego spojrzenie ponownie stwardniało – musimy znaleźć w sobie dość odwagi, by ją wykonać.

Spojrzałem na niego. Jeśli odmówię, nie będę mógł uczestniczyć w królewskiej podróży, przypuszczalnie też nie zdołam spłacić długów hipotecznych. Wiedząc o tym, że mam wrogów na dworze, nie chciałem zniechęcać do siebie arcybiskupa. Byłem w pułapce. Westchnąłem głęboko.

– Przyjmuję to zadanie, wasza ekscelencjo.

Uśmiechnął się.

– Jutro prześlę wam glejt zaświadczający, że jesteście doradcą biorącym udział w królewskiej podróży. – Podniósł pieczęć i wci-

śnął mi ją do ręki. Była ciężka. – To moje upoważnienie, które przekazacie Radwintrowi. Żadnych papierów.

– Mogę wtajemniczyć w sprawę swojego asystenta? Baraka? Cranmer skinął głową.

– Tak. Wiem, że lord Cromwell mu ufał, chociaż przyznał, iż żaden z was nie ma zapału dla reform. – Nagle rzucił mi badawcze spojrzenie. – Kiedyś mieliście ten zapał.

– Wówczas byłem terminatorem.

Arcybiskup skinął głową.

– Wiem. Należycie do tych, którzy działali na początku, przynosząc Anglii prawdziwą religię. – Spojrzał na mnie czujnym wzrokiem. – Religię głoszącą, że prawowitym zwierzchnikiem Kościoła Anglii nie jest biskup Rzymu, lecz król umieszczony przez Boga ponad ludem, by mu przewodził. Kiedy sumienie króla jest poruszone, przemawia przez niego sam Bóg.

– Tak, wasza ekscelencjo – rzekłem, chociaż nigdy w to nie wierzyłem.

– Spiskowcy, o których wspomniałem, to niebezpieczni, źli ludzie. Trzeba podjąć przeciwko nim surowe kroki. Nie lubię ich stosować, lecz sami nas do tego zmusili. W inny sposób nie obronimy dotychczasowych osiągnięć. Dla stworzenia w Anglii chrześcijańskiej wspólnoty trzeba będzie uczynić znacznie więcej.

– To prawda, wasza ekscelencjo.

Uśmiechnął się, biorąc moje słowa za znak zgody.

– Idźcie zatem, panie Shardlake. Niech Bóg kieruje waszymi krokami. – Powstał, dając znak, że rozmowa jest skończona.

Skloniłem się, wychodząc z komnaty. Na odchodnym pomyślałem, że moja misja nie będzie misją miłosierdzia. Miałem dopilnować, aby więzień dotarł bezpiecznie do Tower, gdzie będą na niego czekać tortury. Cóż takiego uczynił ów Broderick, że w oczach Cranmera dostrzegłem tak wielki strach?



Z ZADUMY WYRWAŁY MNIE głosy dobiegające spoza komnaty. Szturchnąłem stopą Baraka i podnieśliśmy się pośpiesznie, krzywiąc z bólu, jako że nasze nogi nadal były zeszytniałe od jazdy.

Drzwi się otwały i do izby wkroczył mężczyzna w wytartej todze. Mistrz Wrenne był korpulentnym, bardzo wysokim mężczyzną, przerastającym Baraka o głowę. Jego kwadratową twarz znaczyły głębokie zmarszczki. Z ulgą stwierdziłem, iż mimo podeszłego wieku idzie pewnie i trzyma się prosto, a niebieskie oczy skrzące się pod posiwiałymi rudoczystymi włosami spoglądają na mnie badawczo.

– Witaj, panie Shardlake – rzekł wyraźnie, z wyczuwalnym miejscowym akcentem. – A raczej, kolego Shardlake, bracie prawniku. Jestem Giles Wrenne. Rad jestem was widzieć. Lękałem się, że spotkało was co złego po drodze.

Zauważyłem, że gdy mi się przypatrywał, nie zatrzymał wzroku na garbatym grzbiecie, jak to czyni większość ludzi. To człowiek wrażliwy, pomyślałem.

– Zgubiliśmy drogę. Pozwólcie, że przedstawię wam mojego asystenta. Jack Barak.

Barak skłonił się, a następnie uściśnął wyciągniętą dłoń Wrenne’a.

– Dobry Boże, silny uścisk jak na prawnika – rzekł staruszek, klepiąc go po ramieniu. – Rad jestem to widzieć. Nasza młodzież za mało ćwiczy. Większość urzędników ma ziemistą cerę. – Wrenne spojrzał na puste talerze. – Widzę, że pocziwa Madge was nakarmiła. Znakomicie. – Przysunął się do ognia. Sokół obrócił się ku niemu, pobrzękując małym dzwoneczkiem przywiązany do nogi i pozwalając podrapać się w szyję. – Witaj, moja stara Octavio. Nie jest ci zimno? – Odwrócił się ku nam z uśmiechem. – Przez wiele zim polowaliśmy razem w okolicach Yorku, lecz teraz jesteśmy na to za starzy. Proszę, spocznijcie panowie. Żałuję, że nie możecie się u mnie zatrzymać podczas pobytu w mieście. – Usadowił się na krześle, patrząc z żalem na zakurzone meble i książki. – Niestety, po śmierci mojej nieszczęsnej małżonki trzy lata temu zaniedbałem dom. Samotny ze mnie mężczyzna. Zatrzymałem jedynie Madge i stajennego. Madge się zestarzała, nie zdoła obsłużyć nas trzech. Była służką mojej małżonki.

Tyle warte okazały się domysły Baraka na temat Madge, pomyślałem.

- Dziękuję, przygotowano nam miejsce w opactwie Świętej Marii.

- Rozumiem. - Wrenne uśmiechnął się i zatarł ręce. - Będzie tu co oglądać, gdy zjawi się król ze swoim orszakem. Wiem, że chcecie odpocząć. Proponuję, abyście przyszli jutro o dziesiątej rano. Przejrzymy wspólnie petycje skierowane go Jego Wysokości.

- Znakomicie. Widzę, że robota w opactwie idzie pełną parą - dodałem.

Staruszek skinął głową.

- Powiadają, że wzniesiono kilka wspaniałych gmachów i że Lucas Hourenbout nadzoruje prace budowlane.

- Hourenbout? Nadworny artysta króla z Holandii?

Wrenne skinął głową z uśmiechem.

- Mówią, że to największy artysta w tym kraju, po Holbeinie.

- To prawda. Nie miałem pojęcia, że tu jest.

- Mam wrażenie, że przygotowują to miejsce na wielką uroczystość. Nie widziałem go. Do opactwa wpuszcza się jedynie tych, którzy mają tam jakąś sprawę. Niektórzy powiadają, że królowa jest brzemienna, że zostanie tam koronowana. Kto wie... - Przerwał na chwilę. - Słyszeliście jakieś wieści?

- Te same plotki. - Przypomniałem sobie, jak rozdrażniony był Cranmer, gdy mu je powtórzyłem.

- Cóż, mieszkańcy Yorku dowiedzą się o tym dopiero wówczas, gdy ludzie króla uznają to za stosowne.

Spojrzałem na niego przenikliwie, wyczuwając nutkę rozgoryczenia pod warstwą pozorów.

- Może królowa Katarzyna zostanie koronowana - rzekłem. - W końcu przetrwała ponad rok. - Wypowiedziałem tę uwagę celowo, pragnąc dać do zrozumienia, że nie należę do twarogłowych na dworze, którzy wspominają o królu jedynie w oficjalnym tonie.

Wrenne uśmiechnął się i skinął głową, dając znak, że odebrał przesłanie.

- Cóż, czeka nas wiele roboty z petycjami. Jestem rad z waszej pomocy. Trzeba będzie oddzielić błahę sprawę od tych ważnych, na przykład skargę pewnego człowieka spierającego się z Radą Północy o cal ziemi. - Zaśmiał się. - Pewnie nie są wam obce takie

nonsensy, kolego.

- Owszem. Specjalizuję się w nieruchomościach.

- Pożałujesz pan, żeś to powiedział! - Mrugnął do Baraka. - Przekażę wam wszystkie sprawy dotyczące nieruchomości. Sam zajmę się długami i zatargami z pomniejszych urzędnikami.

- Czy będziemy mieli do czynienia jedynie z takimi sprawami? - zapytałem.

- W większości. - Uniósł brwi. - Ludność ma odczuć, iż król troszczy się o swoich poddanych z północy. Tak mi powiedziano. Błahe sprawy mają zostać rozstrzygnięte przez prawników działających z upoważnienia króla, poważniejsze zaś przekazane do rozważenia Radzie Królewskiej.

- Jak ma wyglądać arbitraż?

- Będziemy rozstrzygać na nieformalnych posiedzeniach, działając na mocy powierzonej nam władzy. Ja będę przewodniczył, ty zaś i przedstawiciel Rady Północy będziecie zasiadać wraz ze mną. Masz doświadczenie w arbitrażu?

- Tak. Zatem król nie będzie osobiście zaangażowany w rozstrzyganie pomniejszych spraw?

- W żaden sposób. - Przerwał na chwilę. - Mimo to będziemy mogli się z nim spotkać.

Barak i ja opadliśmy na krzesła.

- Jakim sposobem, panie?

Wrenne przechylił głowę.

- Podczas podróży z Lincoln w miastach i innych miejscach po drodze, gdzie król będzie odbierał hołd miejscowej szlachty i radnych miejskich, tych, którzy pięć lat temu błagali go na kolana o litość. Król chce związać ich na nowo przysięgą wierności. Co interesujące, wydano polecenie, aby zbyt wielu gromadziło się naraz w jednym miejscu. Widać nadal się ich boją. Henrykowi towarzyszy tysiąc zbrojnych, a królewską artylerię wysłano łodziami do Hull.

- Były jakieś niepokoje?

Wrenne pokręcił głową.

- Nie, choć zmuszono nas do najbardziej upokarzającej formy poddania. Pokorne błagania zanoszone w Yorku mają być

prawdziwym widowiskiem. Radni Yorku spotkają się z królem i królową w piątek, poza bramami miasta, ubrani w pokutne szaty. Będą ślubować posłuszeństwo i przepraszać za to, iż w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym pozwolili buntownikom obrać York na swoją stolicę. Obywatele nie będą mogli uczestniczyć w tej ceremonii, nie jest bowiem właściwe, aby pospółstwo oglądało upokorzenie radnych... – Wrenne uniósł brwi. – Mogliby też zapalać gniewem do króla. Radni mają przekazać Ich Wysokościom wielkie kielichy pełne monet. Wśród mieszkańców przeprowadzono zbiórke... – Uśmiechnął się ironicznie. – Aby się przypochlebić. – Wziął głęboki oddech. – W uroczystości mają też uczestniczyć królewscy prawnicy, aby oficjalnie przekazać Henrykowi petycję.

– Znajdziemy się zatem w samym środku wydarzeń. – Mimo zapewnień Cranmera, pomyślałem.

– Może tak się stać. Tankerd, miejski kronikarz, jest w nie lada kłopotcie z powodu mowy, którą ma wygłosić. Urzędnicy miejscy nieustannie konsultują się z księciem Suffolk, aby wszystko zostało wykonane zgodnie z życzeniem króla. – Uśmiechnął się. – Wyznaję, że z niecierpliwością czekam na przyjazd Henryka. Jutro wyruszy z Hull, jak sądzę. Jego dwór przebywał w Pontefract znacznie dłużej, niż planowano. Później król udał się do Hull, aby w końcu wyruszyć do Yorku. Następnie ponownie wróci do Hull. Pragnie zreorganizować jego umocnienia.

Pomyślałem, że właśnie tam wsadzimy naszego więźnia na statek.

– Kiedy to się stanie? – zapytałem.

– Na początku przyszłego tygodnia, jak sądzę. Król zabawi tu jedynie kilka dni. – Wrenne rzucił nam baczne spojrzenie. – Może widzieliście już króla, skoro przybywacie z Londynu?

– Ujrzałem go podczas procesji po koronacji Anny Boleyn. Jedynie z oddali. – Westchnąłem. – Skoro mamy uczestniczyć w tej ceremonii, dobrze, że zapakowałem najlepszą szatę i nową czapkę.

Wrenne skinął głową.

– Racja. – Podniósł się z fotela z powolnością zdradzającą podeszły wiek. – Musicie być znużeni długą podróżą, panowie. Powinniście znaleźć swoją kwaterę i solidnie odpocząć.

- Prawda. Bardzo jesteśmy zdrożeni.
- Nawiasem mówiąc, usłyszycie tu wiele dziwnych słów. Najważniejsze to pamiętać, że „brama” oznacza ulicę, a bramę zwą tutaj „rogatką”.
 - Barak podrapał się w głowę.
 - Rozumiem.
 - Wrenne się uśmiechnął.
 - Każę naszykować wasze konie.
- Pożegnawszy się ze staruszką, wyruszyliśmy w kierunku bramy wiodącej do zaułka Minster Close.
 - Mistrz Wrenne wygląda na żwawego starszego jegomościa - zwróciłem się do Baraka.
 - Racja. Dobrze się prezentuje jak na prawnika. - Spojrzał na mnie. - Dokąd teraz?
 - Wziąłem głęboki oddech.
 - Nie możemy dłużej zwlekać, musimy się udać do więzienia.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).